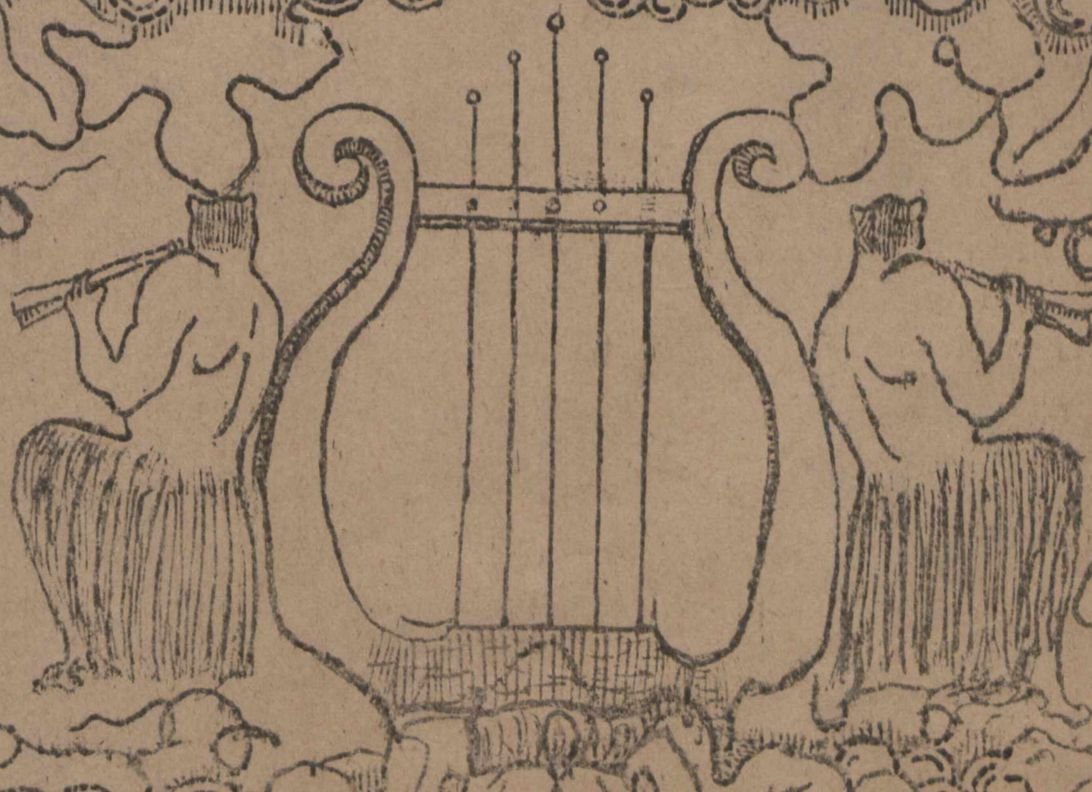
KAMELEON

PISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE

WARSZAWA R. 1919

№ 2



PRZYSZŁOŚĆ

Jeśli na was od młodu chuchać, dmuchać będą,
W manjer wielkiego świata omocą was pęta,
Świat i Ojczyzna sobie, miast ludzi, zdobędą
Słabe pisklęta.

Lecz jeśli was lenistwo ciał, duchów nie złudzi,
Jeśli pierś i myśl będzie, jak harfa, napięta,
To wylecicie ponad świat i ludzi,
Jako Orlęta!...

J e r z y   W r z o s.

WIKTOR GOMULICKI.

W każdym, najdrobniejszym nieraz utworze, jak w ułamku rozbitego zwierciadła, odbija się cząstka duchowego oblicza poety. W jednym odtworzy się ucho /pojmuję - jako symbol wrażliwości eufonicznej/, czy usta /zagadnienie erotyzmu/, w innej cząstce tafli - choć może nawet niewielkiej - zamknięty zostanie najplastyczniejszy odpowiednik duszy - oczy. Lecz, jak w roztłuczonym krysztale lustra możemy się widzieć w niejednokrotnem odbiciu, w zależności od ilości rozbryźgniętych cząstek - tak i w zwierciadle twórczego ducha, jakim jest puścizna poety, widzieć możemy wiele ust, wiele oczu, każde w innym grymasie i w innym wyrazie.

Umiejętnością jest rozpatrzyć każdą cząstkę zosobna: która z nich jest najbardziej prawdziwą, najbezpośredniejszą podobizną uczucia i myśli poety, a z jedni tych zwierciadłowych okruchów zestawić wierne oblicze ducha twórczego.

Przy takim syntetycznym krytycyzmie nasuwa się niejednokrotnie niejedna trudność.

Otrzymujemy naprzykład wiele ust, a brakuje dobrego ucha, to znowu dane części oblicza osnute są mglistą niewyraźnością, to znowu u ludzi podatnych do zasadniczych głębokich przemian duchowych, otrzymujemy kilka wiernych podobizn z kilku różnych okresów życia.

Podobnych trudności nie spotykamy bodaj przy zgłębianiu twórczego dorobku Wiktora Gomulickiego /1851-1919/. Nie przeżywamy niepokojących nas niepewności - czy uda nam się możliwie dokładnie określić jego wartość.

Z każdego utworu zbieramy wyraźnie skrystalizowaną cząstkę duchowości poety i zwolna z przeczytanych strof wynurza się jego oblicze, skąpane w różowych refleksach i półtonach światła, z wytwornym uśmieszkiem na ustach, o błysku ócz ani gorącym ani zimnym, o źrenicach nie błąkających się w bezmiarach wszechświata, a zrzadka tylko śledzących oddaloną linję horyzontu. Najczęściej wpatrzony w otaczający go niewielki krąg burżuazyjnego światka, a i to przez okulary /pardon: pince-nez/, w których matowieje ostrość niejednej kolizji życiowej.

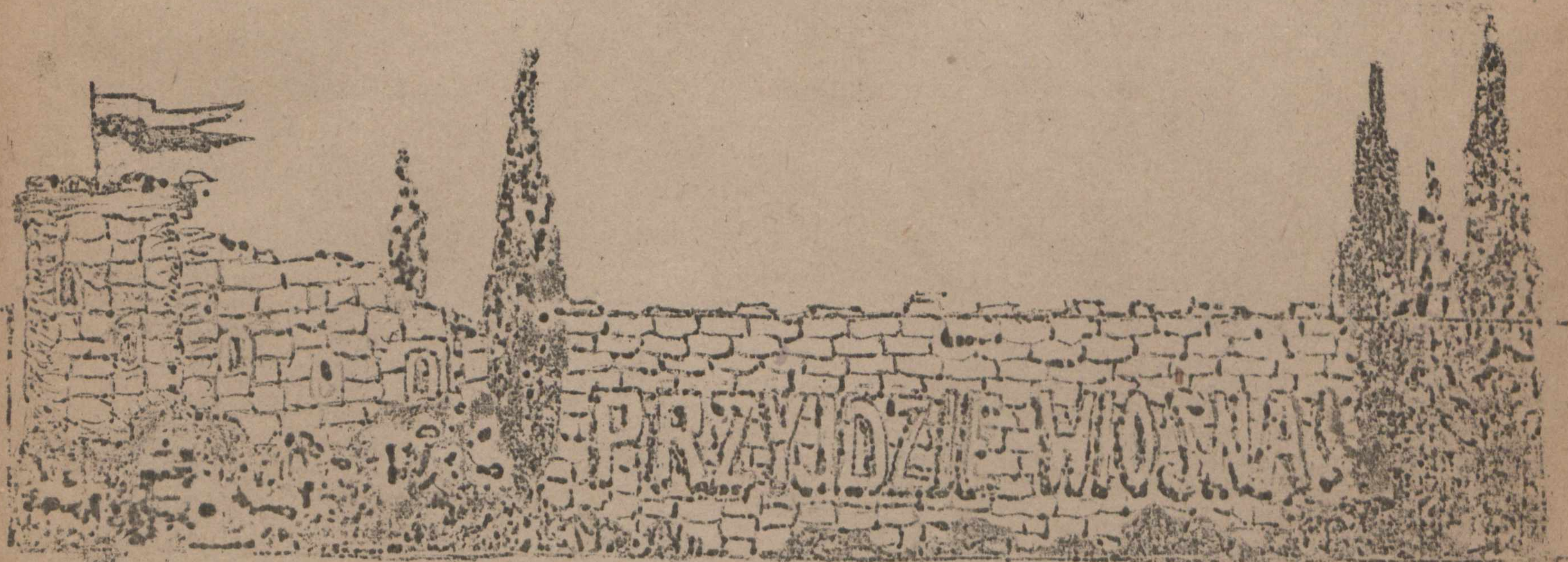
Znajdujemy nieraz /"Gdzie piękno?"/ pełne żywego obrazowania i podniosłe w nastroju wezwanie do poety:

"...   Pierś wasza niech uczuciem jak wulkan wybucha,
Umiejcie tłum pieśniami wstrząsnąć natchnionemi,
Świat z lawy wulkanicznej poznaje głąb ziemi,
Z waszych krzyków namiętnych pozna głębie ducha!"

Wynurzenia te chcielibyśmy postawić jako dewizę całej twórczości Gomulickiego. Lecz wszak jeśli chodzi o syntezę jego twórczości, ogólny wyraz tej ostatniej - nie sposób uwzględnić ten wiersz. Jest on małą błyskawicą zabłysłą na moment na pogodnym czerwcowym nieboskłonie, śród cichego wieczora, kiedy rosa przenosi ogrodowe wonie, a natura okryta skrzydłami milczenia słucha muzyki polnych świerszczów.- Taki jest ogólny ton jego poezji. Czasem z parnasowskim kunsztem, drogą pięknych obrazowych antytez przedstawi nam ludzką niedolę /"Głodnego nakarmić!", "Francuzica", "Pogrzeb aktora"/ i uroni łzę z niezbyt głęboką refleksją, czasem uderzy w głębszy i szczery ton poezji /"El mole rachmim"/. Częściej przecież w guście sielankowości pseudoklasycznych Laur opowie nam z równowagą i pogodą ducha o różnych "Marmurowych", "Anielskich" czy "Chloe". A ileż razy zaiskrzy dowcipem i uśmiechnie się humorem

beztroski /"Pieśń o Gdańsku", "Warszawianka", "Na Kanonji" i t.p./.
Szczery poeta /jego utwory prozaiczne nie odtwarzają prawdziwego życia/, o lotach przecież nie podgwiezdnych, o wyobraźni żywej, umiejący byle nawet błahą myśl oprawić w ramy wytwornego kunsztu, oddany kapłan sztuki poetyckiej - jest Wiktor Gomulicki jednym z najprzedniejszych przedstawicieli pozytywizmu warszawskiego.

C z e s ł a w   R ó ż a ń s k i.



"Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie?"

Słowa te spotykamy we wstępie do "Irydjona".

A choć zwrócone są do Rzymu,czyż w zupełności nie dadzą się zastosować do naszej stolicy,kochanej Warszawy,opiewanej przez poetów,tudzież ordynarnych piosenkarzy kabaretowych?...

Myślę, że tak. I u nas też wciąż ucieka w dal wiele postaci, których nie jednokrotnie odczuć już dziś nie umiemy; znikły już typy przyodziane we włochate cylindry, z pod których charakterystyczne bokobrody wyglądały, w szerokie faliste spodnie, lub w rurkowane kryoliny i kapelusiki ze wstążkami, związanemi na szyi.

Odeszły pod płyty grobowe dusze ubiegłej epoki, serca, co inaczej biły, niż nasze, odeszli ci ludzie, z których podrwiwamy sobie teraz, bo znamy ich tylko z samolubnych kart historji, lub ze starych oleodruków, na ścianach salonu lub w pyle strychu przebywających.

A były to duchy odmienne od dzisiejszych, dobrotliwsze i spokojniejsze, niezabarwione wonią i posoką fabrycznej nowoczesności.

Gdzież są ci ludzie, którzy przy swych śmiesznościach i wadach, posiadali wiele zalet, wiele przewag nad teraźniejszymi i lepsze może od nich prowadzili życie? Gdzież mieszczuch, co spokojny żywot wiódł, gdzież te kawiarnie literackie z artystami, których serca niesplamione wibrowały w odczutym świecie i rwały się do czynu, gdzież wreszcie ten student - bojownik w czapce moskiewskiej, pod którą świeże, a potężne myśli pulsowały?

Gdzież są te postacie, unieśmiertelnione przez Prusa, namalowane przez Kostrzewskiego, a odtworzone przez Rapackiego?

Odpowiedzieć sobie można słowami z tegoż utworu, w którym tkwią pytania owe:

"Wszyscy zniknęli jedni po drugich - przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona".-

-:-

I cóż miast nich się zjawiło?

Oto nowe życie, co już w młodości gnije; a i za pokarm i za formę ma pleśń poprzedniego, wziąwszy zeń to, co w nim najgorsze.

I mimowoli znów przypływają dalsze myśli Krasińskiego:

"Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi,

ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z pucharami w dłoni, a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty - niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku hyjen i nawoływań gladjatorów.- Śmiech z takiej wiosny, umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! - Śmiech z takiego życia! - Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!"

Tak! Śmiech - śmiech z życia takiego!

To nie życie, lecz poddawanie się złemu duchowi, który na nie się składa - - bo zły duch tkwi w nas zawsze. - - -

Warszawa woli leżeć na brudnych odpadkach i okruchach w lubieżnem przegięciu - upajając się wonią pomyj, które gromadzą się wokół, zalewając wszystko, co piękne -

i nie chce się rozpustnej Syrenie usunąć tego śmiecia i tworzyć ogród cudowny, przez bogów wysnuty - za leniwą jest na to - - -

- - Przechodzą wokół obcy robotnicy o twarzach pomarszczonych, surowych. I plują jej w twarz robotnicy, z pogardą spoglądając na rozbestwioną kobietę -

A ona śmieje się do nich w pustocie bezbrzeżnej i rzuca się im do nóg, łasząc się wstrętnie, stopy tych, co dla niej pracują, oblizując.- To znów uśmiech obłudny na twarz malowaną przywołuje i skomli, a skarży się, jak kobieta, wszystkim służąca i przez wszystkich żywiona.

-:-

Świat to arena wielka, dokoła której usiedli widzowie - narody ze świata.

Na arenie zaś tańczy ona - Warszawa, zalotnie się do widzów uśmiechając.

Widzowie klaszczą w dłonie i rzucają jej kamienie drogie, słodycze i kwiaty - - kwiaty - - -

A błazeńska Warszawa kłania się nisko z wdzięcznym uśmiechem à la Messal

-:-

To ma być wiosna. Ale to nie jest wiosna.- Posłuchajcie:

Szła przez las piękna dziewczyna. Pnie i korzenie raniły jej stopy, aż krew broczyła z pod kolców, które ugrzęzły - gałęzie drzew splątywały jej złote włosy.

Lecz dziewczyna szła wciąż naprzód, wiedząc, że tam na nią wyczekują, że tam tłumy konających zaściełają ziemię, a zdrowi nie wiedzą, co czynić mają - dżuma straszliwa ludzkość całą objęła, a przybycie dziewczyny ma ją zagasić.- Więc zdąża naprzód, bo słyszy jęki chorych i wołania o ratunek zdrowych w walce z zarazą powszechną.

W tym z krzaków wybiegła czarna dziewczyna, c o n i e m i a ł a p o s ł a n n i c t w a o d b o g ó w, i rzuciła się na piękną Wiosnę - uzdrowicielkę i pokonała ją czarna dziewczyna w gęstwinę rzuciwszy zmiętą, bez czucia, zbolałą...

Puściła się, dokonawszy tego, w bieg szalony.

Aż dobiegła do bram cierpiącego kraju. I tłum wykrzyknął radośnie: "To ona, nasza wiosna!!"

A zła dziewczyna, władzy żądna odparła: "Tak! to ja: wasza wiosna!..."

I poprowadzono ją na zamek i poczęła panować. Lud wyczuwa jej rozkazy przez kotary - bo zabroniono mu oglądać oblicze W i o s n y.-

Wiosna fałszywa otoczyła się tłumem powierników, co strzegą jej zazdrośnie, obawiając się wygody i stanowiska stracić. A lud otumaniony, leczony trucizną, co bóle rzekomo - do czasu - uśmierza, woła w zachwycie: "O tak, to jest wiosna - wiosna!"-

R o z w i e l m o ż n i ł a s i ę b o g i n i f a ł s z y w a n a t r o n i e.

-:-
-:-

Lecz przyjdzie kiedyś wielki dzień, gdy Wiosna prawdziwa przybędzie, dziewczynę - cygankę i jej sługi skinieniem w proch obróci i wstąpi na tron jasna, promieniejąca - w szkarłatnych i błękitnych barwach, a słońce, co wzejdzie, obleje ją pierwszymi promieniami.

I wiosna prawdziwa zwyciężyć musi!

Bo uwolni ją z haszcz leśnych, gdzie dotąd się szamocze napróżno ze strasznym wyrazem oczu pod złotemi brwiami, uwolni ją i na tron orężem i siłą wprowadzi -

rycerz cudowny, co nie chce się poddać rozkazom cyganki, do-

tąd na tronie siedzącej, i w kuźnicy ducha wykuwa miecz potężny - - - -

-:-

Rycerz podniósł przyłbicę: - to Młodość.

-:-
-:-

T a d e u s z   P o l i ń s k i.

Gdybym żar, co z piersi bucha

Gdybym żar,co z piersi bucha
Umiał zakląć w pieśni tony;
Umiał przelać w słowa ducha -
Byłby może hymn... czerwony!

Hymn - jak pożarowa zorza,
Hymn - jak armat dzikich granie,
Hymn - jak burzy grzmot,jak morza
Ryk w wichrowym huraganie!

Hymn - co rwie...krew w żyłach kłębi...
Szarpie, aż się zrywa dusza -
Targa...jątrzy, aż do głębi...
Walki woła... serce rusza!...

Na zsiniałe bólem usta
Burz wyciska krwawe piany...
Szałem drga...krwią żywą chlusta..
Rzuca walki zew świetlany...

Zmieniłby on może roje
Dusz,błądzących wśród uśpienia,
W średniowieczne polskie zbroje,
W tłum rycerzy wyzwolenia.

I stworzyłby wtedy może
Mimo przestępstw, mimo win,
Jeszcze jedno ziarno boże,
Jeszcze jeden - -
czyn!!...

J e r z y   K r e c z m a r.



WRAŻENIA Z SYMFONICZNYCH KONCERTÓW CYKLU BETHOVENOWSKIEGO.

Muzykę symfoniczną doprowadził Beethoven do takiej doskonałości, jakiej jeszcze nikt nie osiągnął. Stworzył niejako swój własny,odrębny język muzyczny,który swym tonem patetycznym różni się od stylu muzyki XVIII wieku. Daleki jest od używania szumnych i hałaśliwych efektów w orkiestrze,czego najlepszym dowodem jest chociażby "burza" w VI-ej symfonji /Pastoralnej/,gdzie, oprócz bębna,zupełnie prawie nie słyszymy kotłów i t.p. hałaśliwych instrumentów. Niezaprzeczenie wielką zasługą Beethovena jest to,że on pierwszy

wprowadził do symfonji chóry. Symfonji Beethoven napisał stosunkowo niewiele, bo tylko 9. Mówię "stosunkowo", gdyż inni współcześni mu kompozytorzy pisali ich daleko więcej: Haydn np. napisał 126 symfonji /łącznie z uwerturami/, a Mozart - 41. Zato symfonje Beethovena są arcydziełami tej formy muzyki i niedoścignionemi jej wzorami.

Tradycyjny cykl tych symfonji w tym roku przedstawia się nieszczególnie. Pomimo wysiłków dzielnego kapelmistrza, p. Birnbauma, orkiestra niezawsze dosyć dobrze wywiązuje się ze swego zadania /szczególnie instrumenty dęte/.

Do tej pory odegrana została połowa cyklu - 5 symfonji. Jakby podział cyklu na te połowy stanowi koncert Eisenbergera i jego uczenicy, Martusiewiczówny. Na koncercie tym odegrane były kompozycje: Zeleńskiego /koncert Es-dur/, Friedmana /suita/, Mozarta /"Flet zaczarowany"/ i inne.

Przy pierwszej symfonji odegrany był koncert skrzypcowy Beethovena. Solistą był p. Holcman. Gra jego jest dźwięczna, ale ton słaby. Koncert potrójny tegoż kompozytora /na fortepian, skrzypce i wiolonczelę/ odegrany był przez pp. Benzefową, Holcmana i Kochańskiego. Najlepiej brzmiała gra p. Kochańskiego.

Czasami występują dzieci, jak np. Kaczorówna i Prażmowski. Gra ich jest zbyt mało wyrobiona i nie nadaje się jeszcze na estradę. Kaczorówna jest uczenicą prof. Zmigrydera. W grze jej odbijają się wyraźnie wskazówki profesora, ale odbija się też pewna indywidualność; wogóle młoda artystka zapowiada dobrą przyszłość.- Prażmowski, uczeń Melcera, robi wrażenie małego pupilka, który nawet nie wie kiedy się ma ukłonić, a kłania się jakby na skinienie swego profesora, dyrygującego koncertem.

Gdy komu mówię, że mi się gra tych dzieci nie podoba, otrzymuję odpowiedź: "Czegóż można od takich dzieci żądać?" Ale czyż idzie się na koncert po to, żeby podziwiać talent dziecka? Bynajmniej.- Ja przynajmniej idę po to, aby usłyszeć muzykę w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Możliwe, że druga połowa cyklu będzie bardziej intersującą.

E n è r e.



Jednak mi tyle życie już przyniosło róż
z nam nieznanych wysepek i dalnich rubieży
na falach swych spienionych, rozigranych mórz
do moich słońcem złotych piaszczystych wybrzeży.

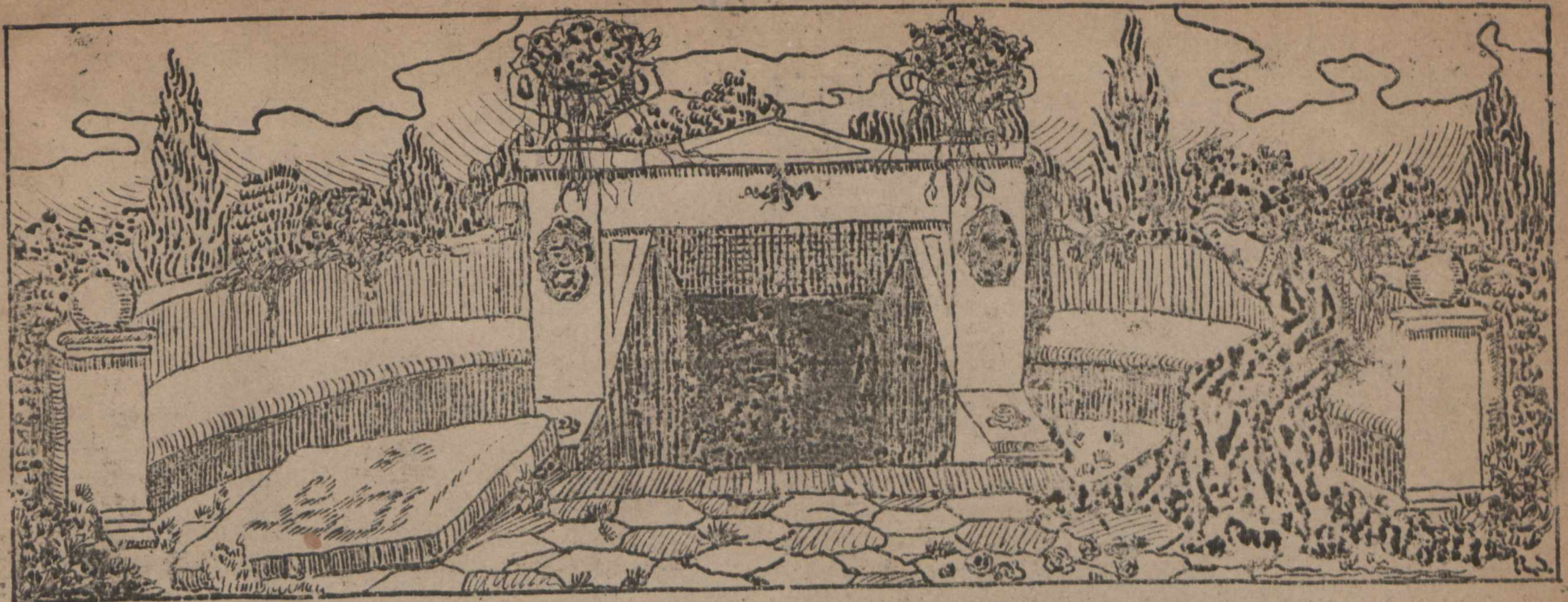
Wybiegałem szalony w ponadbrzeżne piaski,
chwytałem róże, które niósł szał morskich fal.
Róże - szczęście - słoneczne ułudy i blaski:
chwila - - i znów z odpływem wszystko wraca w dal.

A potem róż królewskich krasy cudne zwiędną,
a potem szarość, smutek, potem - pierwsze łzy,
a jeszcze potem - wszystko jedno... wszystko jedno,
niech giną wzloty... czyny... marzenia... i sny...

Gdy miną, jak złowróżbne niepojęte jawy,
godziny strasznych zmagań, niemocy i burz,
znów będę świtem czekał u piaszczystej ławy
darów życia: upojnych, krasnych - jak krew róż.

A n a t o l   W o r o n i c z.





Poświęcam...

Helis!

Bywają marzenia, o których żeśmy nigdy nie śnili - drzemią one w głębokich pokładach naszych dusz, jako błogosławione ptaki we wnętrzu tajemniczych świątyń...

Czasami budzą się, probując lotu, upajają serca nasze baśniową harmonją, tęczą blasku, czy słodyczą pieśni i nagle znikają poza murem naszej świadomości - zostaje nam po nich zagadka, zostaje przeświadczenie, że drzemie w nas sfinksowy duch - jeno go zbudzić i słońce mu za cel wystawić...

Posłuchaj, jakaż mnie się wyśniła baśń:

"Szedłem drogą, którą to Piotr - apostoł z rzymskiego uciekał więzienia. Po obu stronach gościńca rozciągały się pola świeżo zorane, i gdzieniegdzie rdzą młodej zieleni zarosłe.

Otulił pola mglisty tuman, a po niebiosach przeciągały legjony szarych, strzępiastych chmur. Czasami przedzierał się między nimi złocisty blask słońca, słabą srzeżogą rozjaśniając smutny, zasępiony krajobraz, w tysiącznych kropelkach mgły załamywał się srebrnym refleksem.

Szedłem znużony, ocierając pot szerokim rękawem pątniczej kutty, a na duszy było mi dziwnie nadziejnie.

Na polach zaległa cichość szarego poranka...

Ujrzałem się nagle w pobliżu wonnej, kwitnącej jabłoni, a pod jabłonią - w białym marmurze wykowany - rzymski grób. Wejście nie było zasunięte płytą i u drzwi czekała tajemnicza postać niewieścia: była w czarnej szacie z grubym welonem na twarzy. Stała w kornej postawie, zapraszając mię ruchem ręki do wnętrza. Nie wiedziałem - co zacz była. Ale tak mi matkę moją przypominała żywością gestu i całym rysunkiem postaci. Zawahałem się chwilę - postać dziwnie kornie prosiła mię o wejście, a przytem z grobowej niszy dobywał się słodki zapach kwitnących jabłoni i słyszałem, jakoby echo dalekie podziemnych żałobnych śpiewów...

Wstąpiłem do wnętrza - objął mię chłód katakumb i otoczyła mnie ciemność jesiennych nocy. Szedłem przed się z zamkniętymi oczyma i czułem bardziej, niż słyszałem, iż owa czarna niewiasta szła krok w krok za mną. Słyszałem czasami przytłumiony Jej głos - jak szemrała modlitwy jakoweś, czy zaklęcia i po tym szepcie poznałem właśnie, iż matką moją była. Wtedy do serca mego wstąpiła otucha, jako do serca dziecięcia, które matka ramieniem swojem objęła...

- - Kiedym otworzył oczy, ujrzałem się pośrodku modlitewnicy - ciemnej, oświetlonej słabym płomykiem znicza przed miejscem "świętem świętych" płonącego.

Ołtarzem była trumna czarna, białym przysłoniona obrusem - na truchle krucyfiks szczerozłoty...

Obejrzałem się za matką moją - nie było wokół nikogo. Tylko proszalny śpiew jęczał w pobliżu... Nie było słychać słów, lecz melodję błagalną, smętną - jako hebrajski śpiew sabbatu...

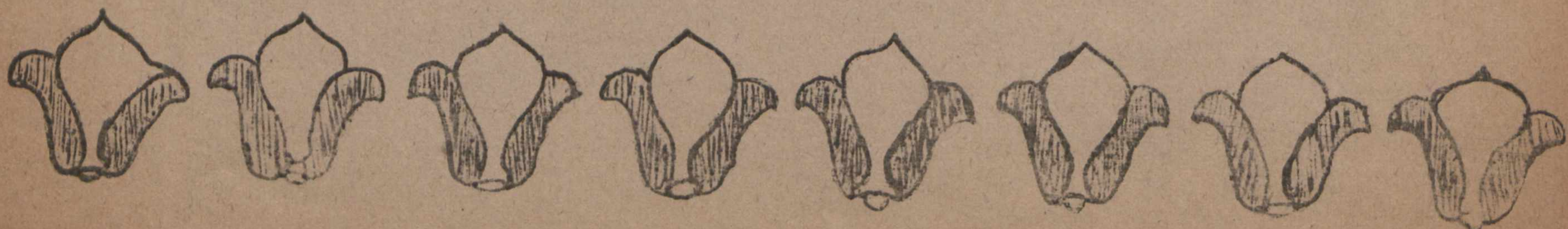
I stałem tak smutny w duszy i pusty; szukałem myślą - gdzieby loty mej pieśni wzbić i czułem całą nędzą błahych mych czynów. Śniłem, żem przed samym Bogiem stanął do spowiedzi; i oskarżam siebie za nicość ducha mego, za

obsłonki fałszywej pracy -
Przyszła fala gryząca wspomnień, żem ongiś inny miał dźwigać trud, żem inne szeptał modlitwy, żem inne śnił zwycięstwa...
A teraz owionął mnie szaleńczy orkan, jak roztańczona rozpustna dziewczyna - pociągnął w bezmyślny życia tan, upają mnie przelotną rozkoszą zgiełku, szychem dążeń i blaskiem fałszywych ideałów - zabłysły wczoraj, a dziś nowych szukaj, boś zapomniał, że w Tobie podniebny spał duch...
Miałem wydzwonić taką pieśń, tam sięgnąć słowem, kędy "narodu rzecznicy" nie sięgali,
marzyłem, że zbudzę mocarny Czyn, że wskrzeszę duchy w stalowych uśpione zbroicach...
I mgła osnuła mój mózg - kiedy usnęła serca mego anielica i zapomniałem górnej pogwary, zapomniałem o czystości i prawdzie słów moich...
Rzuciłem się w wir przelotnych pożądań i łatwych zwycięstw, piłem chciwie lichy motłochu poklask, abym się nie zbudził z zapomnienia i nie zajrzał rozpacznie otwartą źrenicą, gdzie na duszy mej przezroczu, jak na stawu błękitnej toni, obślizgła rozrosła się rzęsa...
Poczułem do siebie żal - zapragnąłem mocy, abym się znów w słońce wzbił!. Padłem na twarz, pełen dziecięcej skruchy i wiary, na kamienną posadzkę bożnicy - wyrwał mi się z pod serca modlitwy jęk.
Nie była to modlitwa rozumu i nie był to pacierz ust, to była cicha skarga uczuć - rozśpiewało mi się serce litanją bolesną i cierpiałem w Bogu wielki różaniec pożądań...
Czołem tłukłem o marmur posadzki...
Rozpłomieniała się we mnie wiara i poczułem w sobie potęgę lotu, dusza mi się rozrosła, żem nią cały wypełnił kościół i miałem w sobie świętość ofiary Chrystusowej.
Ukląkłem, za przewiny w piersi się bijąc...
"Moja wina! Moja wina!" - szeptały wargi...
Ze szczelin ołtarza dobywały się obłoczki świętych kadzideł - woń fijołków rozsnuwała się w kaplicy i nad truchłą czarną, nad szczerozłotym symbolem męki, śród ametystowych mgieł wyłoniła się twarz Twoja - blada, otulona szalem włosów; patrzyła na mnie przeciągle, boleśnie... Beznadziejny, głęboki smutek tlił w Twoich źrenicach - Nigdym Cię taką nie widział...
Zerwałem się z kolan - znikłaś w obłokach wonnej mgły...
Nagle rozległ się huk, zatrzęsła się kaplica i srebrzysta wstęga błyskawicy trzasła w trumnę ołtarza. Zadrżałem - z wnętrza grobu zatrzepotał skrzydłami biały, jak mewa, Orzeł; siadł na drzazgach rozpadłego ołtarza i bił radośnie skrzydłami - lotu próbując. Święta jasność biła od Niego. Z podziemi buchnął radosny, tryumfalny śpiew! Jak przed cudem, padłem w trwodze na kolana, biłem się w pierś i czekałem, jak zajdzie we mnie tajemnica odrodzenia...
I znów - śród błękitnych par pojawiła się Twoja twarz - śmiertelnie blada - oczy szeroko rozwarte z trwogą patrzyły na królewskiego ptaka. Usta Twe bólem drgnęły i zwolna zwróciłaś ku mnie Twe źrenice - było w nich bolesne pytanie i smutek, co mi serce żałością targał. Patrzyłaś na mnie długo. Nie wytrzymałem spojrzenia. Zawarłem powieki i cofałem się ku wyjściu. Radosny chór brzmiał coraz potężniej, a ja, mimo zamkniętych powiek, widziałem ciągle Twoją bolesną twarz i widziałem łunę Białego Orła.
Koło mnie jak cień, stanęła czarna postać...
Zapomniałem o modlitwie mej, zapomniałem o marzeniach moich - smutek beznadzieją otulił duszę moją...
Szedłem ze zwieszoną głową, choć na polach opadły mgły, błękit nieba był czysty i wiośniana woń rozniosła się po świecie, a bezgraniczna pustka smętno śpiewała mi w sercu N o c t u r n o..."

-:-

... Kiedy dziś wspomnę Twoją anielsko-spokojną twarz, ogarnia mnie pustoty śmiech...

S ł a w P o r a y.



Z cyklu: „Obelgi od świata" -

„Pluj mi w twarz tłumie!"

Pluj mi w twarz tłumie!...
Pluj! Czerń, satyrze!...
Ja moce duszy na moment stłumię,
Wytrzymam rozpęd w mych uczuć wirze,
Przeczekam burze,
Aż gromkim echem
Wkrąg mię splugawisz ludzkiej naturze,
Aż się bluźnierczym zatchniesz oddechem,
Aż mi maszkarę
Mojego ducha -
Jak tajnych zbrodni wystawisz karę,
Śledząc, jak w oku błyśnie mi skrucha -
Nie!! Lilji blaski
A serce dumne
Górne z kamiennej wytrysną maski.
Z uczuć dla świata odnajdziesz trumnę;
Dla świata mary,
Rozpadłe kości
Ostawiam z ducha mojego dary -
- Jako powłokę wnętrznej jasności...
A tym, co znali
Żądz mych huragan,
Jak czystość sama zapłonę w dali,
Niby ciśnięty w słońce jatagan.
I tym ostanę
Serc Serafinem,
I mąk uczucia zasklepię ranę,
A wrażeń słodkich napoję winem;
Zajaśnię bielą
Nad chmur pomroką,
Błyskiem srebrzystym uczucia strzelą
Aż się na krańce niebios zawloką
I skrzykną serca.
A z jasnym czołem
Jako żądz mrocznych stanę oszczerca,
Stanę wam Sędzią, mąk Archaniołem.
Śmignę buławą
Z oczu mych błysku,
I wstrząsnę słowem serc ludzkich nawą,
Aż jękną trwożne w ciała sklepisku,
Zleją się łzami,
Posoką krwawą
Za kruche serce szarpane kłami,
Za nędznych oszczerstw bryzgnięcia lawą...
Ja duszą czysty
Z serc przyjacioły
W błękit wypłynę wzwyż uroczysty:
Jak harne będziem sunąć sokoły,
Przy gwiazd świergocie,
W wszechświatów wrębie
Zbadamy szare serc ludzkich krocie,
I nauczymy patrzeć w ich głębie,
I nauczymy sądzić w prostocie...

Sław Poray.



Na tańcach

Nie należy się dziwić w końcu, że i ja zostałem uczniem Terpsychory. Było to w zimie: lekki przymrozek i parki użyźwione na ulicach. Około trzeciej Kazik przyszedł do mnie, mieliśmy bowiem iść na tańce do mistrza; dziesięć marek miesięcznie i "bycze chłopcie", jak mówił. Zaiste, byłbym dał piętnaście. Zbyszek skrzętnie poprawiał ideę swego przedziału, Kazik szu-

kał w zanadrzu kartek do poczty francuskiej, a ja rozmyślałem o próżności życia, kontemplowałem filozofję stoików i powtarzałem sobie w kółko:

"Ainsi tout fuit, ainsi tout passe,
Ainsi nous memes nous passons
Hélas!

Ale były już jakieś schody i jakieś piętro, a potem był już tylko dzwonek i przedpokój. Odwagi! szepnąłem w myśli.

Jakiś człeczyna, niepokaźny, ale raźny, opatrzony wielkim organem powonienia, witał się z nami. Wybełkotałem fragment mego imioniska. Następnie ze skwapliwością zamieniłem uścisk dłoni z dwoma uczniakami z naszej budy, z których jeden czynił na mnie wrażenie cielęcia, drugi lalki ze sklepu konfekcji męskiej.

Nie bez pewnej tremy zawiesiłem na haku moje szanowne palto /wieszak był zerwany/, nie bez pewnej nieśmiałości poślizgnąłem się kilka razy po wywoskowanej posadzce.

Z boku sypnęły się panienki; było ich sporo: małe i w latach, grube i chude, czerwone i blade, ale ładnej, zda mi się, nie było.- To nic - szepnąłem, tak najlepiej, dla wprawy.

"Maestro" sunął ku mnie w podrygach: "kontredans, panie" syknął. Rozejrzałem się nieporadnie, "w parę, w parę" zachęcał mnie Mistrz gardłowym głosem. Za chwilę stałem już obok jakiejś damy o kwadratowej twarzy i rodzynkowych oczach. Przedstawiwszy jej się, ująłem pod ramię; szliśmy w milczeniu. Już miałem zacząć z nią mówić o pogodzie, gdy nagle zostałem gwałtownie uderzony w plecy. Jestem spokojny z natury, ale przyznaję, że odwróciłem się z oburzeniem. Spotkałem się z uśmiechem piętnastoletniego dziewczątka, którego pałąkowate nogi wskazywały niemylną sympatję do Ententy: "Awansuje pan". Ha! wyrodku niewieści, jęknąłem i posunąłem się naprzód;naraz rozpadły się pary i zostałem odosobniony; ze zdziwieniem zauważyłem,że wszyscy tancerze, stanąwszy przed tancerkami wykonywują podrygi wdzięczne w obie strony. Stanąłem i ja i podskakiwałem ucieszenie; czerwony ze wstydu i gniewu, odważny tą smutną odwagą skazanego na śmierć, dowcipny resztkami "Galgenhumoru" zagadnąłem poprostu mą sąsiadkę w formie twierdząco pytajnej. Pani dobrze tańczy!? - O tak - odrzekła; u n a s z w domu były lekcje. Nic mi nie może sprawić większego bólu fizycznego, nad błąd w wymowie; końcówki amy, emy, zmiękczanie niektórych dźwięków doprowadza mnie do pasji; skowyt wściekłości przedarł się przez krtań moją; tocząc wzrok srogi, dalej podrygiwałem, alem wołał całem jestestwem: Wolności, swobody, powietrza, śniegu, przestrzegi, ulicy, świata, ohe!

Ale nastąpić miała chwila rozstrzygająca, chwila, która zaważyć miała ciężko.

Kontredans skończył się i oto zbliżał się do mnie mistrz; wskazywał na jakąś wysoką i chudą dziewicę /?/ i rzekł grzecznie:

"Do roboty, panie!" Hm, zacząłem, ja nie umiem tańczyć; - to nic, odparł, tańcz pan. Chciałem rzecz obrócić w żart i, choć ogarniała mnie trwoga, zadrżałem zlekka. "Tańcz pan!" - powtórzył.

Nie było rady, ująłem lekko moją współtanecznicę i wykonałem kilka zgrabnych ruchów to w lewo,to w prawo. Przytem podnosiłem zalotnie obie nogi. Usłyszałem na sali dyskretny śmiech; ogarnęła mnie wściekłość.Przycisnąwszy żywo nieszczęsną mą ofiarę, zuchwale kręciłem się z nią w koło. Świat zawirował wokół mnie. Ledwo widziałem zarysy rozpaczającego mistrza, twarze obecnych migały mi, jak w kalejdoskopie; jedne były skrzywione konwulsyjnym śmiechem, inne ścięte zgrozą; jakiejś matce stanęły siwe włosy na głowie.

Tymczasem moja wściekłość potężniała; czułem, że ktoś zastępuje mi drogę, dałem mu pięścią między oczy; doskonale pamiętam, że kogoś ugryzłem, zresztą... tańczyłem.

Minęło parę minut, ale zdawały mi się one mgnieniem, "toury" wykonywałem słabiej, ofiara ciążyła mi w ramionach, lawirując, przysunąłem się do kanapki, złożyłem na niej mą współtancerkę i... osunąłem się na podłogę.

--:-:-:-:-:--

Jeżeli skreśliłem te parę słów, to jedynie powodowany rzedkim u mnie przebłyskiem altruizmu. Dziś jestem człowiekiem zgubionym, pędzę nędzną egzystencję; przyczyniły się do tego częściowe sceny powyższe. Jeżeli ten

szkic powstrzyma chociaż jednego młodzieńca od studjów tanecznych w szkole, to cel uważam za osiągnięty.

S t a n i s ł a w   T y l b o r.



Przykrym zjawiskiem jest gościna komedji Zalewskiego na scenie teatru Polskiego. Jak w podkasanej kiecce, dufna w sobie dziewka, wkroczyła komedja ta na scenę, uświęconą świetnymi tradycjami, szczerząc bezczelnie spróchniałe zębiska ku widzom. Już tam napewno duchy Książąt Niezłomnych, Kirkorów i Irydjonów, błądzące w mroku rusztowań, opuściły oburzone swą świątynię na korzyść ordynarnej dziewki, sypiącej - jak z rogu obfitości, wulgarnymi dowcipami. Jeśli jednak arystokratyczna partja Sułkowskich, Juljuszów Cezarów i Kaligul nie ukróci rychle demokratycznych wybryków Chorążyn i jej towarzyszek - to spotkamy się wkrótce ze zjawiskiem zwycięskiego demosu, który, wypędzany ze sceny Lorentowicza, zwartą ławą napada scenę Szyfmana - żądny należnych sobie hołdów i schlebiań swym upodobaniom. Tak samo będą wtenczas dusić swą indywidualność artyści teatru Polskiego, jak ją dusili niedawno - Węgrzyn, Frenkiel i inni niewolnicy "rozmaitościowego" repertuaru. Tak! Nie powinni Przybyłko i Kamiński oddawać swych talentów na usługi błahych i niedowcipnych komedji /nie mówiąc o tym, iż wpływ tych komedji manieruje samych artystów, grających następnie w utworach godnych większego wysiłku artystycznego: Przybyłko - Mirandolina. Stąd brak owej harmonji w sztuce Goldoniego, którą to harmonję wytworzono u Zalewskiego/, nie powinien Maszyński grać ról, w których udaje mu się naśladować węgrzynowskiego Józka - Łabędzia, nie powinna szanująca się scena marnować 30 wieczorów na zabawienie widzów wybrykiem głupstwa wybitnego teatromana, jakim był Zalewski.-

Ze sceny Lorentowicza dochodzą ku nam wieści coraz radośniejsze. Wystawienie "Marcowego Kawalera" jest zapowiedzią nowej ery w rozwoju "pierwszej" naszej sceny. Gra artystów przypominała szyfmanowskie studja na scenie teatru Małego - wszyscy byli doskonali. Tylko premjery "Marty" oraz "Pana Posła" całkowicie nas nie zadawalniały, chociaż talentów Dunin-Markiewicza i Fijałkowskiego nie można porównywać z grafomaństwem uznanych u nas sztukorobów.

Czekamy na obiecanego "Króla Edypa". Jednakże nasuwa mi się pewna myśl-: oto, że ze wzrostem w repertuarze będzie malał przyrost publiczności w Rozmaitościach. Trudno, bardzo trudno naprawić przedawnione błędy -

nie wiem, czy bywalcy Rozmaitości obejdą się bez "Głuszców" i "Ks. Poniatowskich?"

Należy jednak eksperymentować.

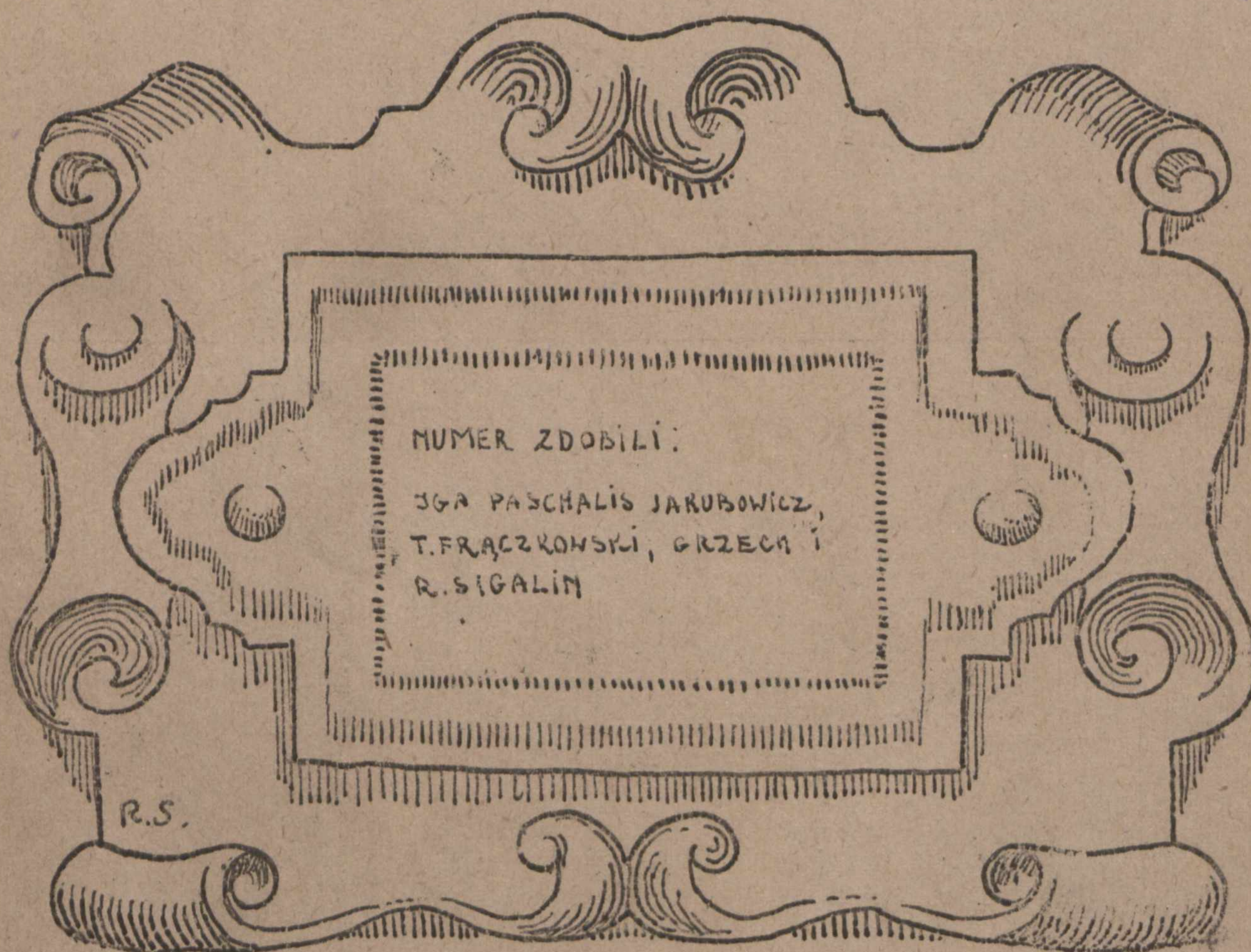
A n a t o l   W o r o n i c z.



Szczegółowe sprawozdanie z pism młodzieży oraz z pism literacko-artystycznych wogóle podamy w numerze następnym.

Wszystkie listy, rękopisy, oraz przesyłki należy skierowywać do członka redakcji, Tadeusza Kwaśniewskiego: Polna 40 mieszk. 10.

Redakcja /Nowogrodzka 2-a m.10/ otwarta od 2 - 4. Telefon № 31-54.



-+++-

Wydawnictwo Kółka liter.-artyst. Redaktor Naczelny Tadeusz Poliński.

Redaktor Odpowiedzialny- Eugenjusz Rostkowski.